

Bogusław Magrel

### **Tytułem wstępu:**

*Czas płynie szybko i nieubłaganie, a z jego upływem zacierają się w pamięci kolory, zapachy, imiona spotkanych w podróży ludzi. Dlatego jestem wdzięczny ekipie portalu interia.pl za to, że namówili mnie do publikacji opowiadań o moich wyprawach, że zmusili mnie do spojrzenia wstecz. Z perspektywy łóżka Instytutu Medycyny Tropikalnej Gdynii, w którym obecnie przebywam, łatwo wspomina się pokryte lodem przestrzenie, wertykalne ściany i skałę z tamtych lat. Łatwiej jest wracać myślami do niebezpiecznych przygód, z których wyszło się cało, a po których powtarzałem sobie: "Boguś, już nigdy więcej...". I jeszcze łatwiej jest to wszystko docenić, bo nie ma nic bardziej przykrego w życiu alpinisty od świadomości, że pewnym wyzwaniom już się nie podoła. Nie spodziewajcie się po mnie relacji typu: pojechaliśmy, przeszliśmy, wróciliśmy... Piszę po swojemu i nie każdemu moje pisanie się spodoba, zdaję sobie z tego sprawę. Ale też trafianie w gust wszystkich nie jest moim celem. Ja lubię Nabokowa, Marqueza, Hrabala, pisarzy wielowątkowych, przewrotnych, bawiących się słowem, których książki są niczym łamigłówki. I czasem do nich nawiązuję. Teraz zapraszam Was na "Wenezuelski dziennik", poświęcony wyprawie na Pico Bolivar (5005 m n.p.m.) - najwyższy szczyt Wenezueli.*

### **01.03.2008. cz. I.**

Nie bez kłopotów, ale wreszcie odnaleźliśmy się na lotnisku w Caracas. Maciek, Andrzej, ja oraz duch Piotrowskiego. Jesteśmy razem. Nie zwlekając wyjechaliśmy z tłocznej stolicy Wenezueli do Meridy, miasta położonego pod Pico Bolivar. Jutro ruszamy w góry w celu rozpoznania przeciwnika. Osobiście poszedłbym jeszcze na Pico Humbolt, ale Maciej ma szerokie zainteresowania biologiczne i marzy o tym, żeby go oblaży robale. Ja z Andrzejem też interesujemy się miejscową "fauną", która zapiera dech w piersiach! Ale o tym intymnym razem...

### **02.03.2008. cz. II.**

Kończy się pierwszy dzień naszego pobytu. Jak na razie autochtoni mają u nas niskie oceny. Może przez to, że ciągle mylą nas z Gringos, czyli Amerykanami, których podobno nie ciepą. No i kiepsko reagują jak ktoś nie mówi dobrze po hiszpańsku. Ogólnie ludzie są zupełnie inni niż w Buenos, powiedzmy mniej subtelni. I asado też nie robią jak w Argentynie... Ale komu ma to przeszkadzać? K... mnie? O górze nadal wiemy mało. Widziałem kilka schematów, ale wszystkie mało dokładne. Jednak postanowione, jutro jedziemy do góry. Drogi Marco Blondi! Szkoda, że Cię z nami nie ma. Drużyna miejscowa jest b. silna! No ale 5 tytułów miss świata i ze 4 miss universum do czegoś zobowiązują... A my nadal gramy system pucharowym, bramka na wyjeździe liczy się podwójnie!

### **02.03.2006, cz. III.**

Nuda, dłużyzna, dialogi niedobre, aż chce mi się wyjść... Nie wpuszczono nas do parku, ponieważ nie mieliśmy ze sobą licencjonowanego przewodnika. Wprawdzie nigdzie nie czytaliśmy o tym i, mimo rozmowy z wieloma ludzimi wczoraj, nikt o tym nic nie wie, ale pobobno ostatnio zginęło tu trzech Belgów i teraz każdy musi mieć przewodnika. No to poszliśmy do agencji i dali nam takiego misia, który jak zobaczył mój szpej do wspinu, to mało nie zemdłał. Teraz czekamy na kolejnego miejscowego pogrmce wertykalnej przestrzeni, który pewnie zblednie, jak zobaczy frienda. Ale, ale o co chodzi? Najpierw myśleliśmy, że to taki sposób na zmuszenie forginersów do wynajmowania przewodników. Wiadomo, zawsze te 100 dolców musielibyśmy im zostawić, ale jak się okazało, że przewodnik z licencją to właściwie "towar" nie do zdobycia, to już nie wimy o co tu chodzi. Ogólnie ten system, który działa w Meridzie jest zupełnym nieporozumieniem. Agencje w Peru czy Ekwadorze, o Argenty nie wspomne, to prawdziwi zawodowcy. Tu w 10 agencjach nie mogliśmy dostać gazu, a co dopiero przewodnika z licencją! A swoją drogą marzę, żeby ową licencję zobaczyć... No i siedzimy sobie i czekamy na kolejnego miejscowego bohatera, który uprawni nas do wejścia do parku. Ale czy się doczekamy?

### **04.03.2006. cz. IV.**

Przewodnika sobie znaleźliśmy. Wczoraj wyjechaliśmy na Pico Espejo, skąd poszliśmy na miejsce biwakowe pod ścianą Bolivara. Żeby się nie zanudzić, to zrobiliśmy po obiadku kilka boulderów i jedną dłuższą drogę. Nocą spadło trochę deszczu, Maciek nie spał, ja tak. Rano chmur nie było, więc był sens wejść na szczyt Bolivara. Droga krótka, 250 m, z czego ze 100 wspinania, ale łatwo, II, w porywach do II plus. Chłopaki szli na linie z przewodnikiem, ja sam. Tuż pod szczytem Andrzej i Maciek stwierdzili, że mają dość, przewodnik i ja doszliśmy do końca. Mimo 9.00 rano pogoda już siadała, dlatego szybko zrobiłem kilka ujęć i na zjazdy. Udało się nam złapać ostatnią kolejkę do Meridy. Teraz suszymy namioty, śpiwory i szykujemy się na imprezę. Zaprosiły nas szalowe Holenderki...

### **06.03.2006. cz. V.**

Jesteśmy nad Orinoko. Po 26 godzinach podróży dotarliśmy do Ciudad Bolivar. Jutro chcemy pojechać nad Rio Caurę i zobaczyć jak żyją miejscowi Indianie. A propos Meridy, to dokończę temat Belgów. Otoż nie zaginęli w górach, ale zostali zabici przez miejscowych bandziorów. W kraju, gdzie broń wypożycza się na godziny, to chyba normalne. Chłopaki przyjechali po przygodę a znaleźli śmierć. Jak to się dzieje, że kamień, spadający spod wierzchołka Pico Bolivar potrafi nas minąć może o pół metra? Przelatuje tuż obok, ze świstem, a my po chwili nawet tego nie pamiętamy. Nie pamiętamy jak wiele mieliśmy szczęścia. Jak to się dzieje, że na Andrzeja spada z czwartego piętra płyta blokowa, a jemu nic się nie dzieje, bo znalazł się w otworze okiennym. Są na świecie rzeczy gorsze od śmierci, o których pisze Vonnegut, są też sprawy na które wpływu nie

mamy i tyle. A w Wenezueli śmierć musi być kobietą, koniecznie z dużymi piersiami i czarnymi, długimi włosami. Jak by miała poniżej 175 cm, to złożyłbym reklamację... kiedy się pochylasz czule nad innymi i rozdajesz w pocałunkach nagłą śmierć, nie chcę wiedzieć, że umieram z twojej winy... Każdy z nas musi umrzeć, ale niewielu z nas wie jak żyć.

### **06.03.2006. cz. VI.**

Kończąc temat Holenderek, to muszę przyznać, że nas rozczarowały, bo przyszły z obstawą. Przyprowadziły ze sobą dwie Norweżki. Dzięki perfekcyjnej znajomości norweskich skoczków jeden z nas bardzo zaimponował obu paniom, ale do niczego nie doszło, bo żadna z nich nie wiedziała kim jest Robert Mateja, a tego nie mogliśmy im wybaczyć. Na dyskotekę poszliśmy sami i była to najgłośniejsza dyskoteka, jaką widzieliśmy a właściwie jaką słyszeliśmy. Kiedy się nam znudziło i pojechaliśmy do hotelu, to właściwie też była dyskoteka, tyle że uliczna. Tu tzw. zimny łokieć to podstawa, a im większy wzmacniacz w aucie, tym lepiej. Chyba 90% męskiej populacji tego kraju to zimne łokcie i inwalidzi słuchu zarazem. Nie ma to jak stanąć wieczorkiem w parku, otworzyć drzwi i puścić muzykę na maxa. Wielu ludzi tańczy przy własnym aucie, pije piwo i dobrze się bawi. Przez Cortazara ciągle chodzi za mną Argentyna, ale o tym później. Jednak tak sobie myślę, że chyba dobrze, że jest tam spora emigracja z Niemiec (mniejsza o jej haniebne korzenie!), ale ten hiszpański, to język handlarzy korzennych, a w tym języku nie da się uprawiać filozofii.

### **09.03.2006. cz. VII.**

Bić się nam przyszło, kapitanie Alatryste - tak mawiał słynny Lope de Vega, jeden z bohaterów Arturo Perez Reverte. Jednak ja Arturo cenie za inną wypowiedź, a mianowicie: Teraz każdy ograniczony palant ogląda Archiwum X i stwierdza, że on też chce silnych wrażeń i adrenaliny. Bierze ulotkę reklamową i następnego dnia, po uiszczeniu odpowiedniej opłaty, huśta się zawieszony w uprzęży na wysokości pięciu tysięcy metrów albo pływa pośród piranii z zimną coca-colą w łapie, nie mając najmniejszego pojęcia, co robi. Czasem nawet nie wie w dosłownym, geograficznym sensie, gdzie jest. Co gorsza, absolutnie nie dopuszcza do siebie myśli, że jest za to odpowiedzialny. Wymaga, zgodnie z umową, żeby nic mu się nie stało. Niech go wsadzą i wyciągną nietkniętego z wodospadów Niagary. A potem, kiedy skręci sobie kark, bo w tych miejscach skręcenie sobie karku jest rzeczą normalną, wyskakuje z mordą, albo robi to jego rodzina w żałobie, argumentując, że mu gwarantowano, i uprawianie rekiningu wokół wysepki Florydy z kalmarem w tyłku to jak film Walta Disneya. [Życie jak w Madrycie - polecam].

### **11.03.2006. cz. VIII.**

Ale wróćmy na chwilę do tej wenezuelskiej śmierci. Nimfa o skórze koloru cacao i zapachu świeżo ciętych ananasów popłynęła za nami w górę Rio Caura, by zabrać ze sobą 5-letniego chłopca z plemienia Indian Sanema. Ona, choć piękna, nie mówi "dzień dobry" ani "przepraszam", musi być

niecو szorska w obejściu, bo przecież po nas zawsze zjawia się nie w porę. Ten mały, któremu robiliśmy zdjęcia, krewny naszego sternika, po południu utopił się w falach powstałych po przepływającej łodzi. Tak czyni śmierć, co siedzi teraz nad brzegiem Rio Caura i płacze. Jego ciało zostanie spalone, popiół zebrany. Za miesiąc odbędzie się spotkanie całej rodziny i przyjaciół. Prochy chłopca zostaną wrzucone do soku z papai, który wypiją wszyscy bliscy. Tak czynią Indianie Sanema, i przez to nie są smutni. (Obiecałem, że wrocimy do Cortazara). Łukaszowi. Łukasz zaczyna dzień zawsze do czegoś dobrego. Na przykład, zanim wstanie z łóżka całuje piersi swojej ukochanej. Łóżka się zmieniają, ukochane również, ale nie dobre uczynki Łukasza. Tak czyni Łukasz i dzięki temu stał się artystą.

Płyniemy 180 km rzeką. W jednej z indyjskich wiosek nasza bosa kucharka woła z uśmiechem "Mi pueblo, mi casa" Boże, jak my nic nie rozumiemy. Płyniemy w dżunglę pełną węży, pajaków i nieopowiedzianych historii, a ona mówi, że to jej dom. Nawet bosa Indianka ma dom. A ja? Podczas trzeciego noclegu kapibara usiadła mi centralnie na głowę. Dobrze, że nie hipopotam... A nasza śmierć znad Rio Caura kładzie się spać, bardzo po nocy miłosnej zmęczona, a nad nią mieni się bursztyń, w którym słońce zadymione kona.

### **11.03.2006. cz. IX.**

Miał rację Hemingway, karaibskie upały na trzeźwo są nie do zniesienia. Jesteśmy w Rio Caribe, strasznej dziurze. Ludzie przyjeżdżają tu aby zobaczyć Playa Medina, wzorcową wenezuelską plażę. Na nas nie zrobiła druzgocącego wrażenia, dlatego jutro pojedziemy chyba do Santa Fe.

### **11.03.2006 cz. X.**

Ech, te bananowe republiki. W Rio Caribe znaleźliśmy Niemca. Mieszka tu na stałe. Pewnie tak mieszka, jak nasz ziomal, niejaki Stefan, spotkany przez nas w Meridzie. Kłopoty z prawem i trzeba się ukrywać... 8-go marca był Dzień Kobiet. Płyneliśmy po Rio Caura, dlatego dla wszystkich Pań spóźnione, ale szczerze życzenia i wierszyk:

*Wspinam się szóstkową skałą, drogą trudną jak na mój gust,  
wspinam się przez wieczność całą, prosto do Twoich ust.*

### **12.03.2006. cz. XI.**

Niegdyś przed wielu, wielu laty w królestwie nad mórz pianą żyła dziewczeczka, która znałem; Annabel Lee ja zwano. Podobnie jak Nabokov i Cortazar nie oparł się urokowi Edgara Alana Poe. Choć imię jego Anabel pisało się przez jedno "n" i choć była starsza do nimfetki Humberta Humberta i nie pochodziła z Mid Westu, ale z ulicy Reconquista w Buenos. Ten przewrotny Julio, który widzi patryotyzm w asado a la criola, wychwala wierzby z Uspalaty i mendozianskie kanały (które i ja znam dobrze), ten sam zatraca się bez pamięci w milongach San Telmo i ramionach Anabel. "...bo tak właśnie się działo, to, co nazwałem zanurzeniem się, owe obiektywne niepotrzebne zeszmaczenia, skoro Susana, skoro T.S. Eliot, skoro Wilhelm Backhaus, a jednak a jednak..."

Może przez tą whisky z dwiema kostkami lodu i odrobiną wody, którą mu serwowała a może przez coś zupełnie innego, Anabel pozostała dla Cortazara symbolem Buenos (z którego wkrótce wyjechał na zawsze), fascynującym go do dziś.

### **12.03.2006. cz. XII.**

12 marca, Dia de la Bandera, narodowe święto w tym kraju. Marsze, apele, przemowienia. Republica Bolivariana de Venezuela świętuje. Z El Commendante Chavezem na czele. Dokąd wieszysz ten kraj Che? Chcesz budować socjalizm w Południowej Ameryce? Widzisz, gdybyś choć trochę Che znał historię, to wiedziałbyś, że to błąd. Trzeba było nie rzucać kamieniami na szkołę. Niestety, z dobra szkołą jest jak ze szlachectwem. Do niczego nie jest potrzebne, ale bez tego ani rusz. Jesteśmy w Santa Fe. W cieniu palm poprawiamy moją prackę o alpinizmie i wdychamy morskie powietrze. Andrzej wygrzewa się na słońku i nic mu więcej do szczęścia nie potrzeba, a Boski Książę Demawendu (ps. Rakuś Górski) przechodzi na dietę dla joginów! Czy mu się uda?

### **13.03.2008. cz. XIII.**

Dzisiaj planujemy rejs po wyspach parku narodowego Mochima, chyba tak się nazywa. Będziemy nurkować trochę. Słońko, pusta plaża, kawa, kapelusz i ciemne okulary. Fajnie jest.

### **14.03.2008. cz. XIV.**

Nazwałem Wenezuelę bananową republiką, ale nie dodałem, że jest to republika bananów pastewnych. Jesteśmy w Puerto la Cruz, czekamy na prom, który zawiezie nas na Isla Margharite. Będzie to ostatni punkt naszej podróży. Na przystań musieliśmy pojechać taksówką. Dzielnica portowa jest bardzo niebezpieczna. Podobno nawet w biały dzień, można dostać kulę. Właściciel hotelu, w którym zostawiliśmy rzeczy (na wyspę jedziemy z małutkimi plecaczkami) osobiście nas odwiózł, bo bał się o nas. A w TV El Commendante Chavez obchodzi kolejny dzień Święto Flagi. O co chodzi...?? Wczoraj widzieliśmy piękne iguany na jednej z wysepek parku Mochima, szkoda tylko, że niopodał jedną z wysepek dosłownie rozbierają, bo zrobili na niej kamieniołom. Ech, piękna to ziemia, tylko szkoda, że ludzie tacy głupi.

### **18.03.2006. Koniec sezonu na słońce.**

Jesteśmy w domu. Za plecami zostawiliśmy kraj, w którym rodzą się najładniejsze kobiety świata. Zostawiliśmy karaibskie pasaty, wyjce w dżungli, i tę śmierć, co ciągle siedzi nad brzegiem Rio Caura i płacze. A my znowu idziemy w góry. Wysoko. Tak wysoko, że stamtąd będzie widać naszą przyszłość, tę na jutro i tę na za 100 lat. W końcu staniemy wyprostowani. A wtedy cały świat będziemy mieli w garści. Żegnaj Wenezuelo, śpij jak spać potrafisz tylko Ty. A Rakuś i Kozioł będą tulić zmęczone oblicze Twoje, byś przebudziła się gdy minie ból, nieznośny ból własnego istnienia.

*W wyprawie brali udział:*

- *Andrzej Kozłowski - Bielsko Biala*
- *Maciej Rakowski - Łódź*
- *Bogusław Magrel - Katowice*

Bogusław Magrel